№ 3.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1842. Poznań, dnia 2. Lutego.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Anna Jakwiczówna.

Powieść przez B. F.

(Ciąg dalszy.)

7.

Stefan Czarniecki uganiał się już ze Szwedem, choć z małą garstką, ale silną, bo wierzącą w narodowe siły. Po pierwszym odrętwieniu, po ugięciu się pod ręką żelazną, która zawisła nad krajem, wszystko na nowo odżyło.

I szlachta Wielkopolska, zawstydzona, iż się dała uwieść magnatom, skupiała się po kilkudziesięciu i kilkunastu, niepokojąc nieprzyjaciela Mieszkańcy Poznania wymykali się z pośród straży szwedzkiéj, aby się z nimi połączyć.

Od zachodniéj strony Poznania, na dwie mile od miasta, szedł ścieszką śród lasu, młodzieniec w wieśniaczym stroju. Pomglisty był dzień marcowy, chmury ciemne rozpostarły się nad ziemią, i ani na chwilę nie pozwoliły przejrzyć jasnemu obliczu słońca. Ziemia czarna, uboga, świeciła gdzie niegdzie pasem śniegu, jak nędzarz ostatnim szczątkiem swojéj odzieży. Drzewa nagie, w te i ową stronę wiatrem naginane, zdawały się potakiwać jego jęczeniu, a na ich wierzchołku gdzie niegdzie przyczepiona wrona powiewała jak złowieszcza chorągiewka. Cała przyroda była żałosna i płacząca, jak człowiek po wielkiéj stracie.

Młodzieniec z tęsknem upodobaniem poglądał na okół siebie, bo dusza jego zdawała się zgadzać z całą przyrodą — w jego oczach malował się głęboki smutek, a nad czołem wisiały chmury. Patrzał pilnie na rozmiękłą ziemię, dojrzał ślady końskich kopyt i szedł w ich kierunku.

Ledwie uszedł kilkanaście kroków, cofnął się nagle — bo napotkał ciało człowieka zabitego. Rzucił okiem na wszystkie strony, i widział między krzakami ciała pobitych tu i ówdzie rozrzucone. Musiał to być zupełnie nowy widok dla niego, bo twarz mu konwulsyjnie zadrgała, i z odrazą oczy odwrócił. Ale jakby myśl potępiła uczucie serca, nagle się przybliżył do pierwszego trupa, i spojrzał na twarz jego. Po czubatym układzie włosów i krótkich wąsach, poznał Szwedów.

Już się też miało i ku południowi, a młodzieniec szedł tym samym śladem i kroku nie zwolnił, raz po raz tylko stanął, ciekawie między krzaki spoglądał, i pilnie śledził szelest każdy. Aż naraz z pomiędzy gęstwiny wyszedł uzbrojony szlachcic. Zatrzymał idącego, zapytał gdzie idzie, i czy Szwedów nie spotkał.

»Spotkałem ich nie mało, całują tam ziemię, na którą ośmielili się stąpić« odrzekł młodzieniec.

Żołnierz bystro spojrzał na niego.

»Kto waść jest, bo mu wcale ten strój nie przypada.«

»Jest tu pan Jakwicz, albo chorążyc Czechowski?«

»Są. Cóż waść ma za interes?«

»Chciałbym się z nimi widzieć.«

»Proszę zaczekać. Moja rusznica nabita, a kulka nie jednego Szweda zmiotła, to by i w waszeciną głowę trafiła — ba i dosyć gałęzi w lesie.«

»Nie jestem śpiegiem« odrzekł młodzieniec bez obrazy.

»Jać też waścieja nie posądzam, ale któż to może zgadnąć — wszak żołnierza obowiązkiem na czatach

być ostrożnym.« I po chwili inny zajął miejsce szlachcica, a ten odszedł z młodzieńcem. Przedarli się przez gęstwinę, i przeprawili przez dość duży strumień. Wśród zagajenia leżało kilkudziesięciu ludzi w głębokim śnie pogrążonych. Każdy okryty delią, a przy boku samopał, niektórzy wcale go z ręki nie wypuścili. Za całe posłanie służyła im rozmiękła ziemia, a który większy wygodniś, temu kilka suchych gałęzi albo pień ściętego drzewa służył za poduszkę. Konie do drzew poprzywięzywane leżały i mech suchy skubały.

Żołnierz wskazał młodzieńcowi na śpiących, Jakwicza i Czechowskiego, ten się zbliżył i pierwszego z lekka pociągnął. Przebudzony porwał się i pochwycił samopał; spojrzał jednak powtórnie, podał przybyłemu rękę, i zawołał:

»I tyś przyszedł do nas Grygerze!«

Zbudzili chorążyca i poszli na ustronie. Gryger wziął kozik wiszący na rzemyku u pasa, rozpruł połę swojéj modréj sukmany i wyjmował papiery, »To przywileje naszego miasta, przychodzę tu z niemi, bo by je tam i pod ziemią znaleźli.«

I uradzili mieć te papiery przy sobie, aż napotkają dwór jakiego poczciwego szlachcica, któremu będą mogli je powierzyć. — Jakwicz już od kilku dni nie miał żadnéj wiadomości z Poznania, a od Grygera o smutnych tylko się dowiedział. Zamilkli, każdy się zatopił w swoich myślach.

»Nie smućmy się« rzekł Gryger po chwili »to Polakowi nie przystoi — mścijmy się jak możemy — a choć będziemy padać jak to suche liście z dębu, cóż to szkodzi — patrzcie już nowe odrastają, wytrwalsze na burze i słoty.«

A wiatr jakby jego słowa zrozumiał silniéj w téj chwili zadął, i osuł ich liściem.

»Bodajnieś zgadł, że nas to martwe liście jak towarzyszów wita« rzekł Jakwicz. Ale Grygerze, ty wracaj do miasta — pamiętaj tam też o mojéj rodzinie — biedna matka! — biedna Anna! — co one teraz cierpią.«

Zanadto Jakwicz zatopił się we własnym smutku, żeby mógł spostrzedz, jaką boleść zrodziły te jego słowa w duszy chorążyca. Śmiertelna bladość okryła jego lica, dziko spojrzał na Grygera, i przyparł ciałem do dębu jakby go z miejsca chciał ruszyć.

Gryger spojrzał na chorążyca i chwilę się namyślał.

»Za wielkiéj ofiary żądasz po mnie Stefanie,« »ja mam spokojnie patrzeć na nieprzyjaciela kiedy wy walczycie! nie, to być nie może!«

»Wszak nas zawsze pocieszasz« mówił Jakwicz, »że w mieście oczekują naszego przybycia jak zbawienia, i że wszystko tam gotowe za broń pochwycić. Nie będziemy wiecznie w koło chodzić i patrzeć jak Szwed domy Boże pali, kapłanów morduje, ojców naszych więzi. Wracaj — oczekując nas, wiem że nie przestaniesz być czynnym.«

»Wracaj ty Stefanie — ja tu zostaję.«

»Czyś zapomniał, że między mną i wrogiem leży kilka ich trupów. Niedobitki wróciły do miasta — a zanadtośmy sobą oko w oko zaglądali, żeby mnie nie mieli poznać. I tyś tam użyteczniejszy odemnie! bo słowami nie jednego zapalisz i działo nie jedno ulejesz.«

Gryger nic nie odpowiedział.

»Jeżeli się wzbraniasz« kończył Jakwicz »to chętnie wrócę. Tutaj każdy bezpieczniejszy, tam być czynnym, trzeba największéj odwagi i roztropności.«

Chorążyc zrozumiał opór Grygera. Ta jego delikatność zmiękczyła go, bo poznał poświęcenie jego dla swojéj zazdrości — a on nawet spojrzeniem przyjazném mu nie odpowiedział.

Ujął więc swoją zimną ręką dłoń Grygera — i ta zimną była jak jego. Wzrok się ich spotkał, ale obadwaj oczy ku ziemi opuścili. Chorążyc brwi ścisnął i rzekł:

»Wracaj waszmość do miasta, dobro rzeczypospolitéj tego po was wymaga — nie wolno wam wybierać.«

Gryger swoją rękę wysunął i zwrócił się do Jakwicza.

»Więc wracam! Bóg mi świadkiem że nie dla żadnéj prywaty, ale jak mi wyłożyłeś, widzę tego potrzebę, bo umiałbym poświęcić osobiste uczucie, choćbym miał i życiem przypłacić dla dobra rzeczypospolitéj.«

Tymczasem w obozie cicho bez szmeru na koń się zabierali, wszystko zgłodniałe i wilgocią nasiąkłe potrzebowało posilenia. Do flaszki myśliwskiéj wiszącéj przy boku, każdy zajrzał — do ust dotknął, ale mało który kilka kropli gorzałki wysączył. Niektóry pachołek podał panu kawałek chleba — lecz to wszystko tylko głód rozdrażniło. Ruszyli bez przewodnika i mappy, bo to była szlachta okoliczna, wszystkie znała dróżyny.

Gryger okrył się delią, zamienił wykrawankę na szlachecką czapkę, samopał przewiesił, i wsiadł na koń żeby być żołnierzem aż do wieczora.

Las się skończył, dojeżdżali do wioski, kilku jeźdźców pośpieszyło naprzód wywiedzieć się o nieprzyjaciela, lecz go tam już nie było, tylko ślady po nim. Kominy chałup sterczały jak olbrzymie kościotrupy, a gdzie niegdzie z pod tych zgorzelisk

wyjrzała wynędzniała twarz człowieka. Ale daremnie byłoby żądać od nich żywności, bo dzieci zgłodniałe tarzały się wśród popiołów, i słabym głosem wołały na matki o troszkę pokarmu. Nie jeden z wojowników wyszukał okruszyn zeschłego chleba, wysączył ostatnią kroplę gorzałki, i choć na chwilę utulił skwierk dzieci, i okropną rozpacz matek — otarł łzę, a z podsiloną na nowo zemstą szedł szukać nieprzyjaciela.

Przejechali kilka wiosek nim nareszcie przybyli do niezniszczonéj przez najeźdników. Gryger wypocząwszy koniowi, zabierał się do odjazdu, bo słońce też już zaszło i ciemnieć zaczęło. Jakwicz z chorążycem ruszyli aby go odprowadzić aż pod miasto. Łatwo było Poznań znaleść wśród ciemnéj nocy, bo krwawa zawisła nad nim łuna.

Jeźdźcy westchnęli tylko, nie pierwszy to raz tym smutnym znakiem mieli wskazane miejsce rodzinne, prawie każdéj nocy błyszczał tam ogień jakby meteor. Po wysoko wznoszącym się płomieniu poznali że kościół. Jechali dwie godziny i już byli nie daleko murów miasta. Gryger zsiadł z konia, zarzucił delią na niego i samopał oddał.

Krótkie było ich pożegnanie, bo jego towarzysze nie zsiedli nawet z koni. Podał rękę Jakwiczowi — serdecznie się uścisnęli, i wymówili: do zobaczenia!

I z chorążycem tym razem przyjaźnie sobie ręce podali, bo łuna, która padała na ich oblicze, jednakiemu uczuciu przyświecała w ich duszy — uczuciu zemsty dla wroga — i zemsta w téj chwili miała dla nich rozkoszny uśmiech miłości, i tak ich wabiła ku sobie jakby spojrzenie kochanki.

Ci tam zwrócili konie, a Gryger podchodził pod mury, od strony wrocławskiéj. Bramy obiedwie zawarte, most zwiedziony, w mieście cichość — żaden go krzyk rozpaczy ani zamieszania nie dolatywał, chociaż płomień wznosił się coraz wyżéj.

Gryger z boleścią poglądał ku miastu, on czuł, że dałby nie jedno życie, gdyby każda kropla krwi była życiem, sączyłby jedną po drugiéj aż do ostatniéj. A teraz musiał stać z założonemi rękoma, a wróg dla zabawy palił świątynie!

I tysiące jego rodaków tak stało jak on i z takim uczuciem w duszy! —

Straże wdłuż muru przechodząc się, podawały sobie okrzyki baczności, zresztą spokojnie było między Szwedami. Oni myśleli, że ten wznoszący się płomień, jest rózgą grożącą każdemu nieposłusznemu dziecku — nie przewidzieli, że on się wznosi na ich zgubę, bo czyje oczy go dojrzą, tego serce zapali się zemstą i rozpromieni iskierkę spoczywającéj miłości ojczyzny.

Długo jeszcze Gryger wdłuż miasta chodził, ponuro poglądał na mury — wszak one budowane ręką jego braci na odparcie nieprzyjaciela, a teraz służą mu za ochronę, i on się dostawać musi do własnego domu pokryjomu. Naraz widzi jakąś postać zbliżającą się ku niemu spiesznym krokiem, a pies idący obok wysunął się naprzód. Nieznajomy stłumionym głosem zawołał: »Chwytaj do nogi« ale pies biegł rozradowany do Grygera. Ten go ręką pogładził, a nadchodzącemu dłoń podał.

»Toście wy panie cechmistrzu.«

Rzeźnik spojrzał ku miastu »panie Grygerze! i długoż tak cierpieć będziemy? kiedyż utoczymy z nich krwi na ugaszenie tych płomieni?«

»Idę z obozu, wszyscy upatrują chwili zbliżenia się do nas.«

»I ja idę od pana starosty babimoskiego z obozu, i niosę pismo niby pocieszające, ani byście zgadli od kogo? Słyszeliście jak przed niedawnym czasem, kiedy Wisła pod Krakowem wylała, wilk z kozą na kupie siana w zgodzie płynęły. Otoż i ja kiedy wróg ziemię zalał, niosę pismo od Jezuity Renarda.«

»I on też na wojnie?«

»Przypiął się do pana starosty, ale przed niebezpieczeństwem umie się chronić, wojuje tylko językiem i piórem, bo to nie zabija. Oto list od niego do pana burmistrza, żeby być gotowym, bo ma pewność, że posiłki cesarskie nadejdą.«

»Schowajcie to pismo, bo pan burmistrz we więzieniu u Szweda.« Śpiesznie się pożegnali, bo straż nadchodziła. Rzeźnik zamyślony poszedł ku innéj stronie miasta aby przy wchodzeniu nie ściągnąć uwagi straży.

Ze wschodem słońca rozwarto bramy, most spuszczono, i każdego przybywającego ściśle wypytywano. Gryger po badaniu przeszedł szczęśliwie, lecz cechmistrza zatrzymano — przetrząśnięto, odebrano list ojca Renarda, i do więzienia wtrącono.

8.

Kilka tygodni upłynęło od uwięzienia pana ławnika, Anna z matką były bez żadnéj o nim wiadomości, najsmutniejsze przeczucia je dręczyły, bo życie jego od jednego skinienia tyranów zawisło. Postanowiły go zobaczyć, choćby i przemocą i zdradą. Pomglisty był dzień marcowy, ponure chmury wisiały nad miastem i wiatr północny dął, one wyszły, nie czuły zimna, bo w utrapieniu duszy zapomniały o przykrościach ciała.

Weszły na ratusz, ale z pierwszych schodów warta je zepchnęła. Niebogie! spoglądały ku oknom i rzewnie płakały.

Z przysionka wychodził rotmistrz szwedzki, spostrzegł je, i zatrzymał się — bo czyż mógł nie patrzeć na Annę, któréj piękne oczy w górę były wzniesione, twarz pełna smutku, na pół osłonięta białą rąbkową zasłoną, miała wyraz czarujący. A obok niéj matka bolejąca, jakby dla uzupełnienia czułego obrazu.

Z całą grzecznością zbliżył się do nich i zapytał: pewnie chcą panie więźnia którego odwiedzić. One go błagać o to zaczęły. Przedstawił im, iż teraz nie podobna, ale na wieczór może się uda wprowadzić.

Nadszedł upragniony wieczór; serce obydwóch mocno zakołatało kiedy ujrzały Szweda wchodzącego. Prędko zarzuciły czarne kontusiki i chustki na głowę. Brygidka rozpaliła latarkę i szła przed niemi, bo i ona koniecznie pana chciała widzieć.

Żadnéj gwiazdki nie dojrzeć przed chmurami na niebie gdzie niegdzie tylko przemignęła w ciemności latarka, jakby ziemska zbłąkana gwiazdeczka. Raz po raz zabrzmiały ostrogi albo pałasz na bruku, bo któż się z mieszkańców o téj godzinie wychylić ośmielił? — Chyba zmuszony przez swego tyrana, jeżeli mu się jakiego przysmaczku zachciało.

Szli w milczeniu, kiedy kilka kroków od domu zbliżyła się jakaś postać do ławnikownéj i szepnęła jéj »Anno!« Ona wyciągnęła rękę, którą nie znajomy ujął.

»To Szwed« szepnął jéj powtórnie.

— »Prowadzi nas do ojca.«

— »To przyjaciel domu.«

Choć i te ostatnie słowa szepnął, jednak Anna zrozumiała całą ich gorycz, w szczęśliwszéj chwili byłaby się pogniewała, ale teraz odpowiedziała mu z żalem:

»Panie chorążycu zawszeście jednacy! Dzisiaj poznałyśmy go przypadkiem.«

Stanęli przed stopniami ratusza, chorążyc ścisną Annę za rękę i zniknął.

Rotmistrz powiedział nazwisko i wpuszczono ich do przysionka.

Na kurytarzu świeczka gdzie niegdzie zatlona rzucała ubogie światełko. Co kilka kroków stał Szwed w stalowym pancerzu i szyszaku, z zdobytym pałaszem, na widok rotmistrza tak nie poruszony, jak kamienna postać dla ozdoby. Przeszli pierwsze piętro stanęli na drugiém. Rotmistrz krzyknął — wybiegł stary knecht z pękiem kluczy i drzwi otworzył.

Ciemno w izbie, latarka Brygidki słabo ją oświeciła, rotmistrz został przy drzwiach a niewiasty obejrzały się po izbie.

Słoma leżała koło ściany, a na niéj siedzieli radni miasta.

»Pani ławnikowa! panna Anna!« zawołało kilka głosów — podnieśli się i łańcuchy zabrzmiały. Na ten brzęk niewiasty prawie zmartwiały, bo dotąd uważały kajdany jako znamie zbrodni.

Już je pan ławnik czule całował, wszyscy witali i pytali o swoje rodziny — a one myśli zebrać nie mogły. Brygidka rzuciła się do nóg pana i mówiła ze łkaniem:

»Pan ławnik w kajdanach, na swoje stare lata w kajdanach!«

Matka i Anna chwilę jeszcze spoglądały na łańcuchy więźniów, i na te kilka garści słomy, które były ich całém posłaniem.

»Marysiu moja! Anusiu moja! czyście mnie nie poznały« wołał pan ławnik boleśnie, ścikając ich dłonie. One jakby przebudzone z okropnego snu, wydały ciężkie westchnienie. Anna załamała ręce, a matka rzuciła się w objęcia męża — ach! ona była szczęśliwsza, bo mogła płakać.

»Nie płacz Marysinku« rzekł pan ławnik »wszak się nic bez dopuszczenia Bożego nie dzieje, znać żeśmy przewinili kiedy tak cierpiemy.« Chciał dłużéj żonę pocieszać, ale widać, że już nie miał siły, bo ostatnie słowa wymówił z płaczem. On dawniéj tak nienawidził łzy w męzkiém oku, a teraz o nie tak łatwo — chciał żonę utulić a sam płakał jak małe dziecie.

Latarka słabe światło rzucała na twarze więźniów; na wszystkich czołach wisiały chmury ciężkich trosków, boleść witającéj się rodziny w nie jedném oku łzę wycisnęła — oni czuli cały jéj ogrom, bo wszyscy byli ojcami rodzin. Po pierwszym gwałtownym żalu, wstąpiła w serca boleść głębsza, ale spokojniejsza, każdy z więźniów choć na chwilę uspokoił się wiadomością o miłych mu osobach.

Ale czas rozstania nadchodził, już rotmistrz powtórnie przypominał. Krótko i w milczeniu odbyło się pożegnanie, bo jedno drugiemu chciało oszczędzić żalu. Ławnik konwulsyjnie uścisnął żonę i córkę, bo myśl, że może jutro pójdzie na rusztowanie, jak błyskawica przeleciała mu w duszy.

Wyszły z więzienia, — co sił starczyło biegły po schodach — jednak Anna dosłyszała trzaśnięcie zamków u drzwi więzienia. Ten trzask był dla niéj tyle, co spuszczenie wieka u trumny — jęknęła, zachwiała się, i padła. Matka spieszyła jéj na pomoc, ale sama przestraszona nowém zdarzeniem, ledwie siły miała dla siebie. Rotmistrz uniósł zemdlałą Annę, a Brygidce wskazał słabą panię.

Szwed choć tyle razy patrzał z obojętnością na umierających, teraz twarz jego zmiękła i litość zajaśniała w oczach. Bo Anna w rozpaczy oczy zawarła, i wyraz największéj boleści jakby zkamieniały pozostał na jéj twarzy, a półświatło padające z kurytarza

ten cały obraz smutniejszym czyniło. Może i piękność Anny poruszyła martwe serce w jego piersi — a może i widok więźniów? Na służalstwie jeszcze nie osiwiał, może dla tego nie przestał być człowiekiem.

I wziął Annę jak dziecko na ręce, jéj głowa skłoniła się na jego pierś stalistą, a jéj długie czarne warkocze, przyczepiały się do szyszaka Szweda jak bluszcz do szubienicy.

W progu domu ławników silna jakaś ręka pochwyciła ramię rotmistrza, on się zachwiał — a jakiś głos męzki krzyknął: »To Anna! Anna na ręku Szweda.« I z taką gwałtownością ją wyrywał, jak tygrys swoje młode z paszczy grzechotnika. Gwar w domu powstał, słudzy zbiegli ze światłem, chorążyc trzymał Annę, a rotmistrz u nóg jego leżał.

»Panie chorążycu uciekaj boś banitą« wołała Brygidka. Ale on stał niemy, — kobiety odbierały Annę — a on się wzbraniał ją puścić.

Szwed stanął na nogach i miecz zabłysnął w jego ręku. Chorążyc wypuścił Annę i ujął za krzywą szablę. Starli się — skry się z ich broni sypnęły — suknem okryta pierś Polaka, silnie odpierała stalą przywdzianą pierś Szweda, bo ten choć uzbrojony był tylko żołnierzem, a tamten obywatelem.

Naprożno Brygidka rzuciła się do nóg chorążyca aby uchodził, naprożno pani ławnikowa, po polsku i po niemiecku z kolei ich błagała — oni na nic nie zważali. Z rotmistrza prawéj ręki krew trysła, i miecz odpadł z dwoma palcami na ziemię — chorążyc się głośno zaśmiał i zniknął. Szwed uchwycił miecz w lewą rękę i wybiegł za nim — ale ten przepadł w ciemnościach jak widmo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozwijanie się stósunków familijnych.

Przez K. Libelta.

Stósunek syna do ojca.

(Ciąg dalszy.)

Grecy, jak wiadomo, na liczne drobne podzieleni byli rzeczypospolite i na różne pokolenia. Z tych pokolenie Jońskie, a mianowicie gałąź Ateńska, stała się reprezentantem wszystkiéj greckości. Widzimy w Atenach prawa Drakońskie potem Solonowe, w Sparcie prawa Likurga. Prawodawcy zatem greccy nie występują już w uroku cudownym półbogów albo proroków, ale są ludzie, i prawa ich są ludzkie. Lud nareszcie sam szuka sobie prawodawcy, wyszukuje ku temu najmędrszego z pośród siebie, zlewa na niego całe swoje zaufanie, i prosi go, by mu napisał ustawy według rozsądku i przekonania swego, obiecując poddać się tym prawom. Wielekroć zdarzało się, iż Greckie państwa wysyłały poselstwa do filozofów z prośbą, aby im prawa napisali. Władza zatem patryarchalna zaciera się. Prawa nie są więcéj wypływem władzy ojcowskiéj nad ludem, ale władzy rozumu i jasnego widzenia rzeczy.

Ztąd poszło, że i w familijnych stósunkach nie widać już ani owéj patryarchalności, ani nieograniczonéj i dożywotniéj władzy ojca nad dziećmi. Z dwudziestym rokiem życia dojrzewał młodzieniec i stawał się mężem, i na tym roku kończyła się władza rodzicielska; syn wychodził z pod władzy ojca, i mógł sobie poczynać, jak mu się podobało. Prawo to służyło porówno dzieciom w małżeństwie spłodzonym i adoptowanym, których p o j e t a m i to jest zrobionymi nazywano. Wszakże ta emancypacya z rokiem dwudziestym nieprzerywała praw familijnych, mocą których dzieci powiązane były z rodzicami. Synowie i potém należeli do części majątku ojcowskiego, który im się miał dostać spadkiem po śmierci ojca, i mieli nawet prawo czuwania nad tem, ażeby widocznem marnotrawstwem albo nieudolnością ojca, uronionym nie został. Bijący tego przykład mamy na Sofoklesie tragedyopisarzu, którego w 80tym roku życia, syn niewdzięczny oskarżył przed sądem o obłąkanie umysłu, z wnioskiem, ażeby z tego powodu oddalonym został od sprawowania interesów domu. Sofokles na dowód tęgości umysłu swojego, przeczytał sędziom właśnie ukończoną tragedyą »E d y p a k o l o n e j s k i e g o«, i tak zachwycił sąd i publiczność, że wniosek syna oddalono, a jego z tryumfem odprowadzono do domu.

Zdarzenie takie, jak powyższe do wyjątków należy, i nie może służyć za dowód niemoralności dzieci, jaką emancypacya sprowadza. I owszem przywiązanie familijne wzmacniało się, czego znowu pięknem świadectwem jest C y m o n, który za ojca swojego Milcyadesa, po tegoż śmierci, wysiedział więzienie, aby się stało prawom ateńskim zadosyć, które nie prędzéj pozwalały pochować ciała więźnia, dopóki się wyznaczonéj na czas pewny karze nie stanie zadosyć. Ojciec podstarzały przepędzał zwykle ostatek dni swoich na łonie familii, kochany od dzieci i szanowany, a gdy synowie już sami byli ojcami, przechodził w stósunek nowéj famiy- »Ostatek życia przepędzał ojciec jako syn pomiędzy. własnémi synami« powiada D i o n i z y z Halikarnassu.

Jeżeli zachodziły przestępstwa dzieci względem rodziców, prawa dozwalały wyłączenia winowajcy

z grona famili, co się nazywało apokeryxis, jak gdyby familijna proskrypcya. Wszakże i tu ojciec samowładnie postąpić nie mógł, ale zebrać musiał sąd familijny, który rozebrawszy rzecz, wyrok wygnania syna z familii wydał. Te sądy familijne także Plato w swojéj rzeczpospolitéj zachował.

Umiera ojciec, i zostawia synów, ci z wyłączeniem córek, należą do równych części spadku. Spadek ten jest ich zupełną własnością, i prócz małych legatów, nie wolno robić ojcu testamentem innych zapisów. I pod względem materyalnym widzimy tu daleko posuniętą emancypacyą synów.

U Rzymian, prawo różne przechodziło koleje, bo się od pierwszych zawiązków, aż do zupełnego rozwinięcia prawnych stósunków kształciło. Dla tego w różnych perjodach rozwijającego się prawa różne napotykamy stósunki familijne. Pierwsze prawo rzymskie było początku boskiego (jus divinum) i patryarchalnego, jakiemi były ustawy Romula i Numy Pompiliusza. W tym czasie postrzegamy powrót tych samych stósunków, jakieśmy u innych narodów pod tym samym wpływem widzieli. Władza ojcowska (potestas patria) była nieograniczona, dziecko było najdoskonalszą że tam powiem własnością ojca. Miał on nad niem prawo życia i śmierci. Wszystko co syn posiadał, co nabył, co sobie zarobił, nie było jego, ale ojca własnością, bo on należał do ojca z wszystkiem co posiadał. Nawet dzieci jego nie pod jego ale pod dziadowską stały władzą. Ojciec mógł syna katować, zabić, przedać, wydziedziczyć, bez odpowiedzialności.

Gdy się dziecko Rzymianinowi w małżeństwie urodziło, po obmyciu i owinieniu w pieluchy, kładzono je przed nogi ojca. Jeżeli je z ziemi podniósł, albo przynajmniéj kazał za siebie podnieść, przyznawał je tym czynem za swoje, i dziecko nabierało prawa do opieki rodzicielskiéj która się koncentrowała w ojcu. Jeżeli zaś nie uczynił tego, nie chciał je tém samém przyznać za swoje, i owo niemowlę wyrzucono z domu na ulicę albo za miasto. Było nawet uprzywilejowane do tego miejsce, tak nazwana kolumna mleczna (columna lactea), gdzie zwykle dzieci nowonarodzone porzucano. Porzutki te albo same umierały z głodu i zimna, albo zwierz drapieżny je pożerał, albo ludzie niemający dzieci, podejmowali je i wychowali jako swoje. Najohydniejsze z tak obmierzłego zwyczaju wyrodziło się rzemiosło. Ludzie niesumienni a zysku chciwi wychowywali takie dzieci, mianowicie płci żeńskiéj, i przedawali je potém za niewolników, albo do domów publicznych. Inni obszywali je we worki, i szczupłą domierzali strawę, ażeby je w karłowatych utrzymać ciałach, i potém albo pokazywać za pieniądze, albo przedać panom ku zabawie. Inni wreszcie zrobili z nich kaleki często w najokrutniejszy sposób, i kazali żebrać, a użebrany grosz sami zagarniali.

Takie nadużycia wypłynęły z tego niewolniczego stósunku syna do ojca. Romulus pozwalał porzucać dzieci słabe i kaleki z warunkiem aby matka obowiązaną była trzy lata je wychować, i dopiero sąd z pięciu mężów złożony przekonał się istotnie o kalectwie lub słabości dziecięcia. Ale prawa dwunastu tablic zniosły te ograniczenia, i dopiero za Konstantyna W. nastały prawa zakazowe.

Stósunek syna był gorszy, niżeli niewolnika. Kto się bowiem zbył niewolnika przez przedaż, a on u nowego pana wolność pozyskał, już dawny pan nie miał prawa nad nim, i nie mógł go do dawnego wrócić stósunku. Lecz ojciec, według ustawy Romulusa, mógł trzeci raz syna swego przedać, jeżeli dwa razy przedany za każdą razą wolność pozyskał. Uwolniony wracał zawsze pod władzę dawną ojca, i dopiero gdy trzeci raz wolność uzyskał, już się władza ojcowska nad nim nie rozciągała.

Już Dionizyusza z Halikarnassu, który prawo rzymskie i greckie porównywał, zastanawiała ta nadzwyczajna surowość władzy ojcowskiéj nad dziećmi. Tłumaczył ją zamiłowaniem karności, która niemal wrodzoną była Rzymianom. Zdaje się przecież, że przyczyną téj surowości praw, były surowe obyczaje początkowych mieszkańców Romy. Była to dzicz zbiegłych zewsząd pasterzy, którzy w takiem barbarzyństwie, nie umieli sobie łagodniejszych nadawać ustaw. Uświęcenie zaś domu, przez bożyszcza familijne i domowe, i nietykalność swobody i wolności w obrębie mieszkania i familii, nie dały się tam wcisnąć prawom późniejszych czasów, i nałogiem trwała władza ojcowska aż do Cycerona czasów.

W następujących tylko przypadkach ustawała władza ojcowska nad synem. Już to, jak się samo przez się rozumi, naprzód przez śmierć ojca naturalną, ale i przez śmierć cywilną, kiedy rzymianin utracił prawo obywatelstwa, przestał być kwirytem. Przez czas więzienia ustawała także władza ojcowska. Powtóre nie miał ojciec władzy nad synem, skoro ten został kapłanem Jowisza, (flamen dialis), ni nad córką, skoro wstąpiła do Westalek, kapłanek bogini Westy. Nareszcie gdy się ojciec dobrowolnie zrzekł praw swoich nad synem co się nazywało emancypacyą.

Od Cycerona aż do cesarza Alexandra Sewera, zmieniło się wiele. Upadek wolności publicznéj, pociągnął za sobą upadek wolności domowéj, i prawa

cesarskie zaczęły ograniczać przyrodzone prawa ojcowskie. Odebrano ojcom prawo życia i śmierci nad dziećmi. Zabroniono porzucania nowonarodzonych. Nie wolno było dziecka już przedać, albo zastawić, chyba w gwałtownéj potrzebie ojca; nawet wydziedziczyć syna już ojciec nie mógł, nie podawszy dostatecznéj na to przyczyny. Własność dzieci przynajmniéj zarobkowa, została im zapewnioną, i mogli testamentem nią rozporządzić. Za Konstantyna czasów do reszty ukróconą została dowolna władza ojców nad dziećmi. Rada cesarska, a nawet wyrok biskupa albo konsula, mógł wyzwolić syna z pod władzy ojcowskiéj, gdy tego była potrzeba.

W tym czasie zawładł już chrystyanizm. Religia nowego zakonu ogłoszoną została za panującą. Wielką zasadą téj religii jest podniesienie ducha nad materyą, czém zarazem rozdwoiły się wszystkie stósunki społeczne: powstał świat doczesny i świat wieczny; świat świecki i duchowny; rozbrat między tém wszystkiem co tyczy ciała, i wygód jego, co jest doczesne, przemijające, a tém co tyczy ducha i jego zbawienia, co jest wieczne, nieśmiertelne. Ponieważ zaś prawa doczesnych imają się stósunków, więc chrześciaństwo nie ma nic z niemi wspólnego; jest i owszem negacyą prawa, a że stan społeczny obejść się bez praw nie może, toleruje więc je tylko. W starożytności mało znaczyło być człowiekiem, bo i niewolnikowi przyznawano człowieczeństwo, a jeknak go miano za rzecz. Wszystko znaczyło być obywatelem. W chrześciańskiem pojęciu obywatelstwo nie ma znaczenia, a wszystkiem jest człowieczeństwo. Bo człowiek jako człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga; człowiek jako człowiek odkupiony męką Chrystusową.

Prawo zatém chrześciańskie rzeczywiście wyrobić się nie mogło i dla tego prawo rzymskie zostało podstawą wszystkich praw rzeczowych. Nowy zaś gatunek prawa, to jest lenności, nieznanéj starożytnym stósunkom prawnym, był wynikiem duchowego także pierwiastku. Na wierności bowiem polegało prawo lenne, jak religia polegała na wierze i miłości Boga i bliźniego.

Ztąd wypada, że w emancypacyi stósunków familijnych pod względem prawnym nic się zmienić nie mogło w wiekach chrześciańskich. Nie wyżéj posunęła się emancypacya, jak była w Grecyi i w Rzymie za Konstantego W. Atoli wiele zmieniło się i zmijało w kolei wieków pod względem moralnym.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Gazety opisując obyczaje w Bretanii, przytaczają następującą powiastkę: pewień wieśniak w okolicy Evreux pracował przez cały dzień podczas nawałnicy na polu i nie było na nim suchéj nitki. Tak zniszczony i spracowany wrócił do domu. Kochana żona zabiegła mu drogę, wychodząc z domu, z którego przez cały dzień nigdzie się nie wyruszyła. »Kochany mężu« rzekła, »nieustannie padało, nie mogłam wody przynieść do domu i dla tego nic nie ugotowałam dla ciebie. Kiedyś i tak już przemókł, przynieś mi parę ćwierci wody, bardziéj zmoc nie można od ciebie.« Przeciw tak oczywistéj prawdzie nie można było nic powiedzieć, mąż wziął ćwiercie i poszedł po wodę do dalekiéj studni. Gdy wrócił do domu, żona siedziała wygodnie przy ogniu palącym się na kominku, wziął ćwierć po ćwierci i wylał wodę na głowę żony, mówiąc: »teraz równie przemokłaś jak ja i możesz sobie wody przynieść, bardziéj przemoc nie można.«

W Londynie znajduje się piętnaście tysięcy modniarek, którym losu zazdrościć nie można, bo pracują dziennie od siódméj z rana do jedenastéj w nocy, wyjąwszy jednę godzinę obiadową. Większa część tych biednych dziewcząt pochodzi z rodzin podupadłych, których urodzeniu szczęśliwsza gwiazda przyświecała.

Jabłonie w Normandyi są ozdobą kraju, tak na wiosnę, jak latem i jesienią. Owoce z nich zapełniają spiżarnie, sklepy i kuchnią, żywią ludzi i bydło, stanowią nawóz, jedném słowem jabłka są tam wszystkiém we wszystkiém. Te co nie są zużyte lub przedane, wytłaczają na cyder, wino prowincyi,—nie zdatne na wino, wypalają na wódkę lub ocet. Miazga czyli wytłoczyny służą na karm dla bydła, zmieszane z innemi pierwiastkami stanowią nawóz, a w okolicach, w których trudno o drzewo, suszą je i w nadchodzącym roku używają za palny materjał. Przekonać się ztąd można, dla czego Normandczyk kocha swe jabłonie.

Z powodu narodzenia się króla rzymskiego (syna Napoleona), wezwano poetów Europy, aby dzień ten narodzin wierszami opiewali. Nadesłano też do Paryża tysiąc dwieście sześćdziesiąt i trzy poezyi w greckim, łacińskim, francuzkim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, niemieckim, angielskim, flamandzkim i holenderskim języku. Pięćdziesiąt poetów otrzymało nagrody, a dwieście siedemdziesiąt i pięć wydrukowano i wydano w Paryżu r. 1811, w dwóch wielkich tomach, pod tytułem: »Hommages poétiques

sur la naissance du Roi de Rome recueilles et publiés par J. S. Lucet et J. Eckard.«

MODY. — Paryż, dnia 23. Stycznia 1842. Wszystkie płaszcze, które w przedpokojach zdejmują, w tym roku nadzwyczaj są piękne i kosztowne. Nie jest czas, jak przed dwoma laty, gdzie idąc na bal, zużyte, wypłowiałe zarzucano na siebie burnusy. Teraz otulają się w płaszcze orzucone kunami, gronostajami, modremi lisami i łabędzikiem.

Dla tego zajmującym jest widok przy końcu balu. Włosy już nie wyglądają na głowach gładko uczesane, angielskie loki zbyt głęboko owisły, kwiaty u sukien i głowy pogniecone, ale skoro damy pobiorą kryspiny i krótkie płaszczyki, opończe atłasowe, lub płaszcze gronostajami podbite, wszystkie postacie nabierają uroku malowniczego.

Ubiory na balach są bardzo rozmaite, opiszemy niektóre naprędce, zanim je płaszcze i burnusy pokryją.

Dla dam nie biorących w tańcu udziału, najwięcéj przystoi kolorowa mora, niebieska lub cytrynowa, podobnie jak ciężki aksamit. Orzucają te suknie matek gładko, szeroką falbaną z angielskich koronek.

Damy zaś tańczące nie zachowują téj pojedyńczości w ubiorach. Jeden kolor dla nich nie wystarcza, biorą podwójne powłoki. Jeden z nich bywa biały atłasowy, drugi krótszy różowy atłasowy. Ostatni wzdyma się w górę począwszy od sznepki i ujęty jest w bukiet diamentowy lub klamrę z kwiatów ułożoną.

Pani B. na jednym z ostatnich balów miała na sobie suknię z białego atłasu, na niéj powłok z lazurowego aksamitu, ujęty w srebrne kłosy, a u dołu na około szeroka fręzla srebrna. We włosach wianek z niebieskiego makuwia z sercami diamentowemi, Stanik aksamitnéj tuniki, nie zupełnie schodzący się, dozwalał dojrzeć pod spodem biały atłas z sznurami srebrzystemi z niebieskim kolorem. Bardzo krótkie rękawy tworzyły jednę bufkę, z któréj słaniały się angażanty z angielskich koronek.

Te zwierzchnie suknie, a może lepiéj owe tuniki, są częstokroć z przodu, lub też z boku otwarte, wyłogi u nich podniesione, dla okazania podszewki zawsze w jaskrawych będącéj kolorach. Tak z pod różowéj tuniki ujrzysz podszewkę białą atłasową, z pod liliowéj złotolitą, z pod żółtéj wiśniową, z pod niebieskiéj różową.

Przed innemi odznaczała się pani C. Na sukni z białego atłasu, u dołu orzuconéj fręzlą srebrną, miała tunikę koronkową, ujętą w pewnych przedziałach trzema białemi różami z białem srebrnem liściem i sercami diamentowemi. Na pięknych płowych włosach spoczywał sznur diamentowy pod wiankiem z róż białych. Harmonia ta ubioru, w każdym razie gustowniejszą była nad stroje zbyt różnobarwne.

W towarzystwie pani S. ujrzano obok lśniących algierskich turbanów w ciemnych kolorach stroje alhambrowe, małe toczki na czubku głowy zawisłe, z aksamitu i rzęsisto różnobarwnemi kamieniami upstrzone i zakończone w drogie spadające kutasy. Para takich kutasów kosztuje 5000 franków.

Te toki alhambrowe są przypomnieniem z ostaniéj zimy, tylko droższe i piękniejsze.

Stroje głowy nie mają w tym roku nic wyłącznego, noszą paski, plecionki, tirebouchony i loki angielskie. Na tył zawsze owieszające się, na skroniach mniéj przystającο ugładzone.

Polecić możemy na ubiory balowe jedwabne tkaniny, pięknie w fałdy układające się, np. atłasy, mory, damasty. Krepa, tul i organtyny pozostają dla młodszych panienek. Tuniki są bardzo modne, wymagają przecie smukłéj kibici. Potrzebą stały się wachlarze pompadur zwane.

Objaśnienie ryciny.

1. Krótki surdut watowany. Kamizelka kolorowa, na jeden rząd guzików.
2. Balowy ubiór. Suknia krepowa biała, orzucona rulkami jedwabnemi, w bukiety ujętemi. Stanik gładki. Rękawy ukosowe. Wysoki strój głowy.
3. Strój głowy jak 2. Suknia jedwabna, szerokiemi orzucona paskami. Mantylla kaszemirowa, z kapturkiem.
4. Kapotka aksamitna z wystrojem aksamitnym. Szlafroczek kaszemirowy. Stanik gładki, z półokrągłą peleryną. Wystrój z złotych guzików.
5. Czarny czepeczek koronkowy, z wiankiem róż. Suknia czarna atłasowa, aksamitem orzucona. Wielka peleryna koronkowa. Czarne koronkowe rękawiczki.

(Rycina zaległa późniéj dołączoną zostanie.)

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

